

NORWEGIA

PRZEWODNIK NIETURYSTYCZNY

SPIS RZECZY

WSTĘP	5
Hanna Gill-Piątek, <i>Powrót do Norwegii, w której nigdy nie byłam</i>	6
POLITYKA	11
Nina Witoszek, <i>Najlepszy kraj na świecie</i>	12
Michał Syska, <i>Czerwonon-czerwona koalicja, czyli odrodzenie socjaldemokracji</i>	35
<i>Bez walki nie ma sukcesów. Z Alim Esbatim rozmawia Jan Smoleński</i>	46
SPOŁECZEŃSTWO	57
Thomas Hylland Eriksen, <i>Śmieci</i>	58
Simen Særete, <i>Petromania</i>	83
<i>Moje książki to konie trojańskie. Z Johanem Harstadem rozmawiają Marius Fossøy Mohaugen i Kristian Meisingset</i>	110
<i>Black metal – muzyczny hołd złożony naturze. Z Kamilem Antosiewiczem rozmawia Jaś Kapela</i>	123
LITERATURA	133
Alexander Aarvik, <i>Kuloodporny</i>	134
Johan Harstad, <i>Rozeznanie</i>	146
Roy Jacobsen, <i>Lód</i>	161
Nina Lykke, <i>Weekend za miastem</i>	175
Christer Mjåset, <i>Najstarszy mężczyzna świata</i>	201
Dag Solstad, <i>Nauczyciel Pedersen. Relacja z wielkiego politycznego przebudzenia, które nawiedziło nasz kraj</i>	214
Autorzy	230
Wykaz źródeł	233
Krytyka Polityczna	234
Przewodniki Krytyki Politycznej	238



THE REVOLUTION IS



MY BOYFRIEND.

WSTEP

POWRÓT DO NORWEGII, W KTÓREJ NIGDY NIE BYŁAM

Zaczął się przeszukaniem na warszawskim lotnisku. Być może uwagę strażniczek przyciągnęły moje pancerne buty, może wzrost – nie wiem. Stojąc w skarpetkach na baczność na oczach kolejki przeciskającej się przez bramki, czułam, jak ręce tej niewielkiej kobiety z surowo zaciśniętymi ustami fachowo przesuwają się po moim ciele. Ta uzasadniona zasadami bezpieczeństwa, ale dotkliwa opresja odebrała mi komfort spokojnego bycia sobą, odarła z polskiej codzienności, zresetowała do jakiejś pierwotnej, cielesnej warstwy.

Może dlatego po przylocie inaczej czułam przestrzeń. Najpierw doświadczyłam jej rękoma, ciągnąc dziewiętnastokilogramową torbę na kółkach. Mój bagaż stał się jakby nieważki, toczył się grzecznie po równych chodnikach, lekko pokonywał niewysokie krawężniki i perony idealnie dopasowane do poziomu podłogi w pociągu. Wcześniej w Warszawie ta sama torba prawie wyrwała mi stawy, kiedy targałam ją przez maksymalnie skomplikowane i nieprzyjazne bebechy Dworca Centralnego, chyba specjalnie zaprojektowanego do fizycznej eksterminacji słabszych podróżnych. Na norweskiej ziemi dzielna walizeczka tylko dwa razy fiknęła koziółka na lodzie, ale przynajmniej w dobrej sprawie, bo ekologiczni Norwegowie nie solą chodników. Posypują je tylko grubym czarnym żwirem.

Wiele wyjaśniła mi wizyta w Narodowym Muzeum Architektury i Wzornictwa, gdzie z wypiekami na twarzy mogłam przez godzinę zatopić się przetłumaczonej na angielski norweskiej prasie

branżowej. Już wiem, co ciekawego aktualnie się w Norwegii buduje, wybudowało lub planuje wybudować. Zdecydowana większość prezentowanych projektów to niekomercyjne obiekty publiczne: sale gimnastyczne, skateparki, skwery, centra kultury czy park mający zbliżyć dwie dzielnice – tę zamieszkiwaną przez klasę średnią i tę, w której żyją imigranci. Przeczytałam artykuł na temat polityczności architektury, w którym autor zastanawiał się nad przekładaniem pojęcia „dobrego życia” na planowaną przestrzeń. Zobaczyłam też, że pojęcia zrównoważonego rozwoju, ekologicznych technologii lub rewitalizacji społecznej traktuje się tu absolutnie poważnie. Te zagadnienia w norweskiej architekturze są punktem wyjścia, a nie ozdóbką do deweloperskiego folderu reklamującego tony betonu wylane na lewo przy Jeziorku Czerniakowskim. Nic dziwnego, że kultura organizowania przestrzeni publicznej stoi tutaj na wysokim poziomie.

Nasza wyprawa była poświęcona poszukiwaniom ciekawej norweskiej sztuki alternatywnej. Alternatywnej w znaczeniu, jakie przyjmuje się w Polsce: kontestującej, przekraczającej, offowej. I tu zaczęły się prawdziwe przygody. Odwiedziliśmy w tym celu wiele polecanych miejsc: Hausmanię – miejsce pracy niezależnych artystów i alternatywny teatr, Blitz – jedyny squat w Oslo, feministyczne radio, alternatywny koncert i rewolucyjną księgarnię. Potem chyba straciliśmy nadzieję. Zamiast oczekiwanych ekscesów lub przynajmniej sztuki krytycznej odnaleźliśmy spokojne instytucje: luźniejszy dom kultury z teatrem rozwijającym myśl Artauda, wegańską knajpę z wyćwiekowaną obsługą, zwykłe radio, dwoje Norwegów męczących rozstrojone gitary oraz elegancki sklepik z publikacjami o sztuce. Wiele spodziewaliśmy się po niezależnym festiwalu odbywającym się w jakimś mieszkaniu – i trafiliśmy na koncert mis tybetańskich.

Także poszukiwania w muzeach i galeriach nie dały spodziewanego rezultatu. Najmocniejsze współczesne prace pochodziły głównie z zagranicy.

Już po kilku dniach zrozumieliśmy, że trudno o kontestację w społeczeństwie spełnionym. Istnieją jeszcze pola, gdzie w Norwegii pozostało coś do zrobienia: prawa zwierząt czy sprawy imigrantów, jak historia wydalonej Marii Amelie, ale są to już tylko marginesy. Szybko też poznaliśmy przyczynę naszych niepowodzeń. Kultura jest w Norwegii dziedziną bardzo zadbaną i każda ciekawa inicjatywa uzyskuje, właściwie natychmiast, potrzebne dofinansowanie. To z kolei sprzyja instytucjonalizacji i poszukiwaniom skierowanym w stronę apolitycznej „czystej sztuki”, niewadzącej się z nikim. Przez cały wyjazd doświadczałam czegoś w rodzaju flashbacku z wczesnych lat 90. w Polsce, kiedy artyści uwolnieni z opresji poprzedniego systemu uciekali na gwałt od wszelkiego zaangażowania i polityczności.

Spokojni Norwegowie za wszelką cenę unikają wyróżniania się. Widać to na każdym kroku: w uporządkowanej przestrzeni, w skromnym stroju, w sposobie komunikowania, w końcu – we współczesnej sztuce. Eksces praktycznie nie istnieje. Nawet Varg Vikernes, lider black metalowej grupy Burzum o otwarciu faszyzujących oglądach, który w 1993 roku zabił gitarzystę innego zespołu i podpalił kilka kościołów, po zwolnieniu warunkowym osiadł na wsi i zadeklarował powrót do spokojnego życia. Nie oznacza to jednak, że nic nas w Norwegii nie zdziwi. Wędrując po Oslo, wszędzie można natknąć się na golasy. Oczywiście nie takie zwykłe, różowe i miękkie, bo te są po uszy zakutane w płaszcze i szaliki. Chodzi o golasy niemarznące, z brązu lub gipsu. Wśród licznych rzeźb tylko te przedstawiające prawdziwe osoby mają jakieś wdzianka. Na przykład zwinięta w paragraf Kate Moss jest

w bikini. Reszta dotyka lodowatego powietrza nagimi stopami, pupami i całą szczegółowo oddaną resztą. Jakby Norwegowie lubili symbolicznie mierzyć się z niemożnością wyskoczenia z gatek przy temperaturze minus 17 stopni. Czasem golas jest samotny, czasem spleciony z innym. Lub w grupie. Albo w jednej wielkiej lodowato-golasowej orgii, która odbywa się w słynnym Parku Vigelanda.

I choć byłam w Norwegii po raz pierwszy, to tak naprawdę do niej wracałam. Ósma część mnie pochodzi właśnie stamtąd za sprawą mojego pradziadka Roberta Andersena. W dzieciństwie w mojej głowie Norwegia była na poły mityczną krainą, miejscem bojowych czynów moich przodków i przodków, które opowiadano mi przed zaśnięciem. A tu proszę, nikt nie lata w rogatej czapce, a w pociągu – przysięgam – wisi naklejka z przekreślonym toporem. Ta cała Norwegia to po prostu spokojne miejsce, zapraszające, by w nim żyć, zestarzeć się i nie wyrywać sobie stawów, kiedy chce się gdzieś przewieźć bardzo ciężką torbę.

**BLITZ
MOT
NAZISME**





POLITYKA

NAJLEPSZY KRAJ NA ŚWIECIE

NORWESKIE MARZENIE

Na jednym z najbardziej magicznych obrazów współczesnej norweskiej idylli widzimy chór starszych panów, którzy stoją na plaży na tle wzburzonego zimowego morza i śpiewają sentymentalne pieśni o swojej ojczyźnie. Nie przejmują się ani szalejącym dookoła wiatrem i śniegiem, ani lodowatym zimnem. Śpiewają ze szronem na brwiach i heroicznymi soplami smarków wiszącymi z nosów.

Taki jest motyw przewodni *Heftig og begeistret* (Mocar-nych i nawiedzonych, 2001), najważniejszego „plemiennego” filmu w historii norweskiej kinematografii. To nie jego treść jest fascynująca, lecz reakcja publiczności – długotrwała kolek-tywna katharsis. Wszyscy śmieją się i płaczą równocześnie – i to w cynicznych czasach, gdy patriotyczne łzy są raczej rzadkością. Dzieje się tak nie dlatego, że chór męski z Berlevåg jest spektakularny, pieśni urzekające, a natura nie z tej ziemi. Jest raczej odwrotnie. Chór składa się głównie ze starszawych, całkiem zwyczajnie wyglądających mężczyzn. Pieśni są wykonywane z imponującym zapamię, który tuszuje niedoskonałości, natura zaś jest surowa i nieprzyjazna. Jednak starsi panowie z Berlevåg pieścżą norweską duszę, bo są dowodem na to, że zwykli ludzie są nadzwyczajni, świat peryferii jest OK, a życie jest wspaniałe – nawet jeśli jest się po sześćdziesiątce i na bezrobociu. Stoją

więc sobie na tle wzburzonych fal i śpiewają – jak jakiś chór z *Titanica* – dumni, pełni patriotycznej w e r w y i przekonani, że mieszkają w najlepszym z najlepszych światów.

Mocarni i nawiedzeni to film ojczyźniany, który wykorzystuje wszystkie obowiązkowe obrazy i sztamkowe symbole nordyckości: muzykę w przyrodzie i przyrodę w muzyce, wyobrażenie Norwegów jako „dzieci natury”, heroizm dnia codziennego w najodleglejszych zakątkach kraju oraz socjalistyczne i seksualne fantazje. Sednem filmu jest Norweskie Marzenie: baśniowy scenariusz *à la* „z chłopa król”, w którym zwyczajni ludzie, zarówno metaforycznie, jak i dosłownie, obejmują rząd dusz. *Mocarni i nawiedzeni* dowodzą, że aby zostać królem, nie trzeba być Arnoldem Schwarzeneggerem; można być zwykłym facetem z brzuchem i zakolami – nie mówiąc o prozaicznych tęsknotach.

Niniejszy pamflet jest wynikiem mojej fascynacji *Norwegian Dream* i jego metamorfozą w XXI wieku. Podobnie jak *American Dream* – jedna z najbardziej charyzmatycznych i mobilizujących opowieści w historii ludzkości – *Norwegian Dream*, choć dotąd „nieskodyfikowany” tak, jak ten amerykański, jest konkurencyjnym mitem, który zasługuje na uwagę. W *The Epic of America* (*Amerykańskiej epopei*, 1931) James Truslow Adams pisze:

[...] marzenie o kraju, w którym życie miało być dla wszystkich lepsze, bogatsze i bardziej kompletne, z możliwościami dla każdego, w zależności od zdolności i osiągnięć. Europejskiej klasie wyższej trudno jest to marzenie odpowiednio zinterpretować, zbyt wielu z nas jest nim zmęczonych i straciło do niego zaufanie. Nie jest to marzenie wyłącznie o samochodach i wyższej pensji, lecz o społecznym porządku, w którym każdy mężczyzna i każda

kobieta mogą w pełni się zrealizować i zyskać uznanie innych za to, kim są, niezależnie od przypadkowych okoliczności związanych z narodzinami czy pozycją społeczną.

Od Deklaracji Niepodległości, przez literaturę narodową, do kultury popularnej Amerykanie lansowali obraz samych siebie jako ludzi wybranych, dla których nic nie jest niemożliwe: podbój kolejnych terytoriów, walka z lokalnymi i międzynarodowymi złoczyńcami oraz nieskończone bogactwo i władza. Niezmienne przesłanie brzmiało: i ty możesz zostać Rockefellerem, gwiazdą Hollywood lub amerykańskim prezydentem, nawet jeśli jesteś jednonogim Albańczykiem chorym na AIDS.

W ostatnich dziesięcioleciach *American Dream* został skompromitowany – jeśli nie trwale okaleczony – z powodu przygód supermocarstwa, bezmyślnej kultury konsumpcyjnej i chciwości Wall Street. W powstałej w ten sposób próżni wyrosło Norweskie Marzenie – łagodniejsza, etycznie bardziej akceptowalna wersja projektu mającego na celu stworzenie *a great good place on Earth* („wspaniałego miejsca na Ziemi”). Podobnie jak Amerykanie, Norwegowie chcą uwieść świat historią ukochaną przez wszystkich: o drodze Kopciuszka z biedy do bogactwa. W przeciwieństwie jednak do Amerykanów – którzy zachłystnęli się snem o nieograniczonym dobrobycie, sławie, miłości, władzy i szczęściu – Norweskie Marzenie mówi o świecie z ograniczeniami i niedostatkami, świecie, który toleruje dyktat miernoty i wyśmiewa wyczyny Supermana. Czy Norweskie Marzenie jest odpowiedzią na tęsknotę człowieka za bezpieczeństwem, pokojem i szczęściem? Co jest jego siłą napędową? Czy jest wolne od *hybris*, tej tragicznej skazy, która spowodowała upadek Ikara, skłoniła Doktora Fausta do zaprzędania duszy diabłu, stała się przyczyną klęski Napoleona i Hitlera i doprowadziła prezydenta Busha do katastrofy w Iraku?

LA BELLE ÉPOQUE

W roku 1976, kiedy Europa Wschodnia nadal znajdowała się pod sowieckim butem, Wisława Szymborska napisała takie oto strofy o utopii:

Wyspa, na której wszystko się wyjaśnia.

Tu można stanąć na gruncie dowodów.

Nie ma dróg innych oprócz drogi dojścia.

Krzaki aż uginają się od odpowiedzi.

Rośnie tu drzewo Słusznego Domysłu
o rozwikłanych wiecznie gałęziach.

Olśniewająco proste drzewo Zrozumienia
przy źródle, co się zwie Ach Więc To Tak.

Im dalej w las, tym szerzej się otwiera
Dolina Oczwistości.
Jeśli jakieś zwątpienie, to wiatr je rozwiewa.

Echo bez wywołania głos zabiera
i wyjaśnia ochoczo tajemnice światów.

W prawo jaskinia, w której leży sens.

W lewo jezioro Głębokiego Przekonania.
Z dna odrywa się prawda i lekko na wierzch wypływa.

Góruje nad doliną Pewność Niewzruszona.
Ze szczytu jej roztacza się Istota Rzeczy.

Mimo powabów wyspa jest bezludna,
a widoczne po brzegach drobne ślady stóp
bez wyjątku zwrócone są w kierunku morza.

Jak gdyby tylko odchodzono stąd
i bezpowrotnie zanurzano się w topieli.

W życiu nie do pojęcia¹.

Wiersz Szymborskiej dotyczy świata, w którym socjalizm stał się sceną największej masowej ucieczki z Utopii. Tak jakby najlepszą rzeczą, jaką można było zrobić w tym najlepszym ze wszystkich światów, był exodus mieszkańców. Warto się zastanowić nad faktem, że gdy poetka starała się uchwycić przerażające rozczarowanie dyktaturą szczęścia, kilka tysięcy kilometrów na północ rosło jedyne w swoim rodzaju, utopijne, prawdziwie socjalistyczne królestwo – świat, który był dla swoich obywateli domem, a nie więzieniem.

Na początku XXI wieku Norwegia wydaje się krajem, który jest blisko spełnienia najważniejszych postulatów europejskiej lewicy z ostatnich dwóch stuleci: równouprawnienia, wolności, sprawiedliwości – i bogactwa. Podstawą bajecznego dobrobytu są nie tylko główne źródła energii: ropa, gaz i woda, oraz jeden z najwyższych na świecie produktów narodowych brutto na mieszkańca. Jest nią także długa tradycja pokojowego rozwoju, rola wspólnoty i społeczeństwa obywatelskiego, mądra polityka

¹ Wisława Szymborska, *Poezje*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989, s. 204.

reform, która stworzyła jeden z najlepszych na świecie systemów opieki społecznej, urzekający krajobraz oraz tożsamość oparta na partnerstwie z naturą.

W oczach świata Norwegia XXI wieku to ideał piękna, bogactwa, społecznej sprawiedliwości oraz oświeconego samarytanizmu. Kraj, który lansuje – symbolicznie i politycznie – zrównoważony rozwój – od jego koncepcji stworzonej przez Gro Harlem Brundtland do gigantycznych dotacji dla krajów rozwijających się. Norwegia inwestuje namiętnie w akcje pokojowe, szerzenie praw człowieka i proces demokratyzacji w krajach mniej uprzywilejowanych. Jest poniekąd największym światowym eksporterem dobra dla w s z y s t k i c h. Jest również jednym z największych na świecie eksporterów broni, lecz w tym eseju odłożymy to na bok i poczekamy na bardziej mroczny moment w dalszej części książki. Dzisiaj, jeśli wojna jest problemem, Norwegia jest rozwiązaniem. Kraj ten ma obecnie największą liczbę pokojowych mediatorów, wszechobecnych na Bliskim Wschodzie i w Ameryce Łacińskiej, w Sudanie, Erytrei, Tanzanii i na Sri Lance. Na początku nowej ery norwescy stratedzy polityczni i media przekonali zarówno swoich obywateli, jak i na społeczność międzynarodową, że ojczysty kraj Ibsena stanowi ucieleśnienie odwiecznego marzenia ludzkości o sprawiedliwości i dobroci.

Żaden inny kraj nie odniósł tak wielkiego sukcesu w dziedzinie autoreklamy (*branding*). Weźmy parę epizodów z moralnej biografii Norwegii jako współczesnej utopii: 10 stycznia 2002 roku „International Herald Tribune” cytowało doradcę prezydenta Busha, który wyraził nadzieję, że „*the Norwegian countries would function as peace brokers in Afghanistan*” („kraje norweskie mogą spełnić funkcję mediatorów w Afganistanie”). Czyli nie Szwecja albo nawet Skandynawia – ale *Norwegian countries* (*sic!*). 5 kwietnia tego

samego roku „London Times” wydrukował list znanego profesora filozofii Laurence’a Goldsteina, który argumentował, że najlepszym sposobem na rozwiązanie konfliktu na Bliskim Wschodzie byłoby oddanie Jerozolimy w ręce Norwegii na następne dwadzieścia lat. W wyświetlonym w 2002 roku programie BBC o Sri Lance wojujące strony, reprezentowane przez skwaszonego Tamila i melancholijnego Syngaleza, pozostają w cieniu promiennego norweskiego mediatora, który pedagogicznym, śpiewnym norwego-angielskim odczytuje pompacyjne oświadczenie o radościach pokoju. 8 lipca 2002 roku w „Time Magazine” można było przeczytać artykuł *Little Fish in a Big Pond. How Tiny-Though Rich-Norway Became a Master in the Art of International Diplomacy* (Mała rybka w dużym stawie. O tym, jak niewielka, ale bogata Norwegia stała się mistrzem w sztuce międzynarodowej dyplomacji). W roku 2008 nawet CNN i BBC pokazywały prognozy pogody, w których figurowało Oslo, a nie Sztokholm. No i Sir Crispin Tickell, brytyjski parlamentarzysta, który twierdzi, że „Norwegowie zagarnęli dla siebie wszystkie szlachetne cele i są teraz Robin Hoodem naszej planety. Szczерze mówiąc, nas, Brytyjczyków, trochę to irytuje, zważywszy że niedysiejsi barbarzyńscy wikingowie skradli nam naszą cywilizacyjną misję!”. Jakby tego było mało, obecny minister spraw zagranicznych Jonas Gahr Støre założył narodowe „forum reputacji”, mające na celu dalszą poprawę międzynarodowej opinii o Norwegii. Oto tylko część materiału dowodowego, który pokazuje, że Norwegia pełni zarówno funkcję Eldorado, jak i moralnego supermocarstwa. Takiego połączenia nie spotyka się w światowej geopolityce, jest to raczej historia z bajek. Na mitycznej mapie świata bogacze figurują jako *bad boys*. Z wyjątkiem Norwegii – najlepszego kraju świata.

Lecz to nie koniec historii.

NORDIC MODEL UNLIMITED

Profesor André Sapir, wybitny badacz globalizacji i państw dobrobytu, wyróżnia nordyckie, anglosaskie, kontynentalne i śródziemnomorskie modele dobrobytu. Model anglosaski kładzie nacisk na efektywność, lecz społecznie jest bezwzględny. We francuskim etatyzmie egocentryczne związki zawodowe blokują efektywne wykorzystanie zasobów społecznych. Model śródziemnomorski wypracował styl i strukturę, gdzie żadne prawe uczynki nie pozostają bez kary i gdzie efektywność i sprawiedliwość są równie rzadkie jak trufle. Z tych czterech modeli, podsumowuje Sapir, tylko nordycki potrafi łączyć równość, efektywność, wysokie zatrudnienie i względny brak biedy.

Do niedawna najwięcej uwagi na arenie międzynarodowej przyciągał „model szwedzki”. Po II wojnie światowej Szwecja stanowiła cnotliwy wzór pozytywnej współczesności. Pod koniec XX stulecia mit o szwedzkim *folkhemmet* („dom ludu”) uległ kompletnej dekonstrukcji; idealne państwo dobrobytu zostało zdemaskowane jako kraj, który „normalizował” swoich mieszkańców za pomocą różnych podejrzanych środków: od inwigilacji klasy średniej do biurokratyzowanego zarządzania. Szwedzkie elity okazały się „dziwkami rozumu” (Jan Myrdal), różne badania zaś wykazały zasadniczą bezsilność jednostki w społeczeństwie kiedyś uważanym za najbardziej demokratyczne na świecie. W orgii narodowego samobiczowania w latach 90. mówiło się nawet o szwedzkim „wariacie faszyzmu z domu ludu”, po ujawnieniu informacji o licznych zabiegach sterylizacyjnych przeprowadzanych w imię zdrowia ludu w okresie największej świetności socjaldemokracji.

Dzisiejsza Szwecja przestała być niekwestionowanym wzorcem moralności dla Zachodu – lub może nigdy nim nie była. Bogiem

a prawdą, nie była nim też Norwegia. Również tu do początku lat 60. praktykowano lobotomię „na rzecz zdrowia narodu”, a Cyganów sterylizowano aż do roku 1977. Tak to już jednak jest, że mroczna przeszłość narodu jest zawsze bardziej eksponowana w czasach kryzysu – i mniej widoczna w okresach świetności.

Teraz pora na „model norweski”. Jest on bardziej atrakcyjny od szwedzkiego, ponieważ wydaje się mniej autorytarny i słabiej naznaczony szacunkiem dla aparatu władzy. Norwegia oferuje światu dobrobyt bardziej elastyczny i cieplejszy, a także pokazuje, w jaki sposób można wykorzystać ogromne bogactwo w nowej *mission civilisatrice*, kwestionującej stare brytyjskie i francuskie projekty imperialne. Dowodzi, że we współczesnym świecie lepiej jest dawać niż brać – i kosztuje to mniej więcej tyle samo.

Kim więc są te anielskie istoty, które pełnią rolę współczesnych stróżów północnej Utopii? Na oficjalnym zdjęciu czerwono-zielonego rządu widzimy grupę roześmianych młodych ludzi ubranych nieformalnie w kurtki, norweskie „reniferowe” swetry i czerwone anoraki. Mówią: jesteście tacy jak ty! Żadnych krawatów czy biznesowych garniturów, żadnych czarnych limuzyn. Symbole władzy starannie usunięto z rządowych stron internetowych, podobnie jak z norweskiego krajobrazu. Aby zobaczyć zamki i katedry, trzeba przejechać tysiące kilometrów, a nowa, rewelacyjna Opera Królewska przypomina senną łódź podwodną lub łagodnie lodowato-białe zbocze do połowy zanurzone w wodach fiordu. Ministrowie w anorakach uśmiechają się i obiecują jeszcze wyższe pensje, jeszcze krótsze dni pracy, jeszcze dłuższe urlopy i jeszcze wyższe ceny benzyny.

Najbardziej uderzającą oznaką norweskiego sukcesu nie są jednak dane dotyczące przemysłu naftowego czy promocja

pokoju na świecie, ale dobrobyt samych mieszkańców. Jeśli wierzyć ostatnim wynikom badań szczęścia narodowego brutto (*Gross National Happiness*), Norwegia jest żywym dowodem na to, że za pieniądze można kupić szczęście. Badacz Ottar Hellevik i jego sztab przeprowadzili wywiady z 40 tysiącami Norwęgów i stwierdzili, że szczęście – „poczucie dobrobytu i zaspokojenia oraz brak materialnych kłopotów” – jest w norweskim społeczeństwie coraz bardziej powszechne (*W pogoni za norweskim szczęściem*, 2008). Norweski kryzys tożsamości z początku lat 80., wywołany niepokojem, że dobrobyt demoralizuje, wydaje się zażegnany. To samo dotyczy niepohamowanej konsumpcji. Hellevik sugeruje, że w roku 2003 nastąpiła zmiana systemu wartości z materialistycznego na bardziej idealistyczny: „Możliwe, że dla wielu ludzi nie ma już więcej rzeczy godnych pożądania. Przypuszczalnie więcej osób niż wcześniej przywiązuje też wagę do ogromnej przepaści między panującą w wielu krajach biedą i cierpieniem a dobrobytem, który mamy w Norwegii. Czują moralny dyskomfort. Do tego dochodzi zaniepokojenie klimatem i środowiskiem”.

Norwegowie są tak szczęśliwi, że gazety narzekają, że ludzie narzekają za mało. Na dodatek nowsze badania wykazują, że 70 proc. mieszkańców „płaci swoje podatki z entuzjazmem i jest w stanie płacić nawet więcej” („Aftenposten”², 2 maja 2008). Czy to jedna wielka autoiluzja, czy też mamy do czynienia ze wzorem odpowiedzialności obywatelskiej? A może z masochizmem? Piękną fasadą, za którą kryje się mroczny świat smutku i utraty? Czy też stoimy wobec autentycznego szczęścia, kiedy pieniądze nie stanowią już problemu?

² „Aftenposten” to jedna z najpopularniejszych norweskich gazet (przyp. tłum.).

NORWESKI KOSZMAR

Istnieje już cały batalion skwaśniałych domowych krytyków, zazdrosnych wschodnich Europejczyków i upokorzonych pięknoduchów z krajów muzułmańskich, którzy demaskują Norwegię jako upadłą krainę Sorii Morii³. W *Strategach narodowych* (1998) Rune Slagstad dokonał analizy rozpadu unikalnego modelu „demokratycznego kapitalizmu” oraz triumfu kapitalizmu bezdusznego, pazernego i technokratycznego. W krytycznej antologii *Norwegia. Diagnoza* (2008) autorzy pokazują, jak dalece mit o Norwegach jako dobrych i szczęśliwych obywatelach nie zgadza się z rzeczywistą sytuacją w kraju. Księga skarg i zażaleń jest długa: *janteloven* („prawo Jante”, będące wyrazem pogardy dla elit), dyskryminacja rasowa, fatalny stan edukacji, podejrzane inwestycje w skorumpowanych krajach dyktatorskich i żałośnie krótka lista zasług w zakresie ochrony środowiska (*sic!*). Kto demaskuje szczęśliwych Norwegów? Czy szukające sensacji media? A może elity intelektualne, które zawsze szukają dziury w całym?

Elity są podejrzane. Od Woltera przez Sartre'a i dalej, do Ortegi y Gassetta klasy wykształcone nienawidziły wulgarnego gustu mas. Ludzie, których zadowala niewymagająca praca i którzy wolą *Taniec z gwiazdami* od Platona, zawsze byli postrzegani przez intelektualistów jako *Untermenschen*. Z drugiej strony mediom też nie zawsze można ufać: czasami mówią prawdę, czasami zmyślają, żeby coś sprzedać, a jeszcze innym razem konspirują z partią rządzącą. A co z ludźmi?

³ Wcześniej byli wrodzy katolicy z Europy Południowej, którzy wykorzystywali nordycką statystykę samobójstw jako dowód, że państwo dobrobytu nie jest jednak takie dobre (Soria Moria to zamek z norweskiej baśni, symbol idealnej szczęśliwości – przyp. tłum.).

Kiedy we wrześniu 2008 roku leciałam samolotem z Krakowa do Oslo, siedziałam obok rozmownego starszego pana. Zapytał mnie: „Czy to ty jesteś tą polską Niną, która tak brzydko pisze o Norwegii?”. Przytaknęłam trochę niespokojnie, przygotowana na pedagogiczną tyradę. „Co teraz czytasz?”, zapytał. Pokazałam mu książkę leżącą na moich kolanach: *Norwegia. Diagnoza*. Spojrzał na nią sceptycznie i powiedział: „Ale Norwegia ma diagnozę. Jest nam dobrze”.

Wygląda na to, że sytuacja Norwegii jest beznadziejna, ale nie poważna. Nie jest poważna, ponieważ większość białych Norwegów ma się świetnie i koniec. A także dlatego, że z międzynarodowej perspektywy nawet Telenor okazuje się jedną z najbardziej odpowiedzialnych społecznie firm świata. Jednocześnie sytuacja jest beznadziejna, ponieważ książki takie jak *Norwegia. Diagnoza* są stratą czasu. Norwegia pokazuje, że *Gross National Happiness* nie ma nic wspólnego z dobrymi szkołami czy kwitnącymi bibliotekami. „Nie nauczyłaś się jeszcze, że za dużo myślenia sprawia, że człowiek staje się zagubiony i nieszczęśliwy?”, zapytał mnie mój sąsiad z samolotu. „*We in Norway don't want the brains to go to our heads*” („W Norwegii nie chcemy, żeby mózgi uderzyły nam do głowy”).

OD WELFARE STATE DO LEISURE STATE

Norweskie Marzenie niekoniecznie opiera się na złudzeniach. Tak jak inne mity, jest to dydaktyczny moralitet opowiadający nie o tym, jacy jesteśmy, ale kim chcielibyśmy być. To, że Norwegia wydała dwa razy tyle na wojnę w Afganistanie, ile na działania pokojowe, nie odgrywa tu roli. Bez znaczenia jest także nasze zdziwienie nietaktownym zachowaniem norweskich

ekspertów od pokoju i pomocy na Sri Lance czy w Bangladeszu. Narodowe aspiracje – i oczekiwania zewnętrznego świata – żeby ujrzeć Norwegię jako kraj ucieleśniający wszystko, co najlepsze: pokój, prawa człowieka, zrównoważony rozwój i demokrację, są tak wielkie, że Norwegowie musieli dorosnąć do roli światowej mekki praworządności i umiaru.

Pragnę jeszcze dodać, że tym, co czyni Norwegię szczególnie atrakcyjną w postmodernistycznym świecie, jest osobliwa kulturowa schizofrenia. W rzeczywistości istnieją dwie różne mityczne „Norwegie”, które nadal ze sobą konkurują: cnotliwo-biedna Norwegia – dumny naród z wzorowymi tradycjami równości, solidarności i ludowej mądrości – zderza się z nową „mamoniczną” Norwegią, z piraniami rynku finansowego, kultem pazerności i samozadowoleniem. To Thorstein Veblen, socjolog norweskiego pochodzenia oburzony amerykańskim marnotrawstwem, wymyślił kiedyś pojęcie *conspicuous consumption*. Świnia przedstawiająca satyrycznie budżet państwowego radzi: „Postaraj się wyglądać zarówno chudo, jak i grubo”. To nie tylko żart: to obraz rozdwojonej norweskiej psychiki z pierwszej dekady XXI wieku. To Norwegia jako biedny-bogaty kraj o dziewiczej podświadomości. Jak powiedział Picasso: „Marzę o tym, żeby być biedakiem z gigantyczną kasą”. Powszechne moralne oburzenie, które towarzyszy rewelacjom o przekrętach finansowych, pokazuje, że cnotliwo-biedna Norwegia jeszcze nie zginęła. Wystarczy wymienić narodową burzę po ujawnieniu informacji o inwestycjach StatoilHydro w naftowe pola Kanadzie, nielegalnym zatrudnianiu dzieci u poddostawców Telenor w Bangladeszu czy astronomicznie wysokich pensjach i bonusach przyznawanych dyrektorom dużych przedsiębiorstw. Publiczne oburzenie, które towarzyszy tym sensacjom, dowodzi, że w oczach Norwęgów